

## Ambasador Wacław Grzybowski 17 września 1939 r. w Moskwie

Marek Kornat

Dnia 28 września 1939 r. w Moskwie rządy Niemiec i Sowietów zawarły układ rozbiorowy, który rozdzielał między obydwa państwa zawojowane terytorium Polski. Mija od tego wydarzenia 83 lata. Rozbiór poprzedziła agresja niemiecka i sowiecka. 17 września dopełnił się los II Rzeczypospolitej. Na zawsze związany z tą tragiczną kartą historii pozostaje dr Wacław Grzybowski, ambasador polski w Moskwie. Pozwalam sobie – jako jego biograf – powrócić raz jeszcze do jego roli w historii Polski.

Czyt. na str. 4 i 5



## Chojecki, Macierewicz i Naimski odznaczeni Orderem Orła Białego

Prezydent Andrzej Duda wręczył w Belwederze Ordery Orła Białego założycielom i działaczom Komitetu Obrony Robotników, w jego 46. rocznicę powstania.

Rzeczypospolitej Polskiej za duże zasługi cywilne i wojskowe dla kraju nadawany zarówno w czasie pokoju, jak i w czasie wojny.

Orderem odznaczeni zostali: Miro-



W uroczystości wzięli udział m.in. członkowie Kapituły Orła Białego, premier Mateusz Morawiecki i prezes PiS Jarosław Kaczyński.

Order Orła Białego to najstarsze i najwyższe odznaczenie państwowe

ślaw Chojecki współzałożyciel Niezależnej Oficyny Wydawniczej „NOWA”, największego wydawnictwa działającego poza cenzurą, Piotr Naimski oraz Antoni Macierewicz - współzałożyciele Komitetu Obrony Robotników „KOR”.

## Zwycięstwo centroprawicy we Włoszech. Polacy politycy podzieleni

Polscy politycy komentują wyniki exit poll we Włoszech. Premier Mateusz Morawiecki pogratulował zwycięstwa Giorgii Meloni i jej partii Bracia Włosi. „Wielkie zwycięstwo” - podkreślił.

Przedstawiciele opozycji zastanawiają się, jak długo włoski blok centrolewicy utrzyma się przy władzy.



Tvp.info

## Lekko kupujemy, lekko wyrzucamy. Smutne dane

Raporty ONZ pokazują, że przemysł włókienniczy przyczynia się obecnie do większej emisji dwutlenku węgla niż transport lotniczy i morski łącznie. Na świecie produkowanych jest ok. 80 mld. sztuk ubrań rocznie, a ogromna część z nich szybko ląduje na wysypiskach. Oczywiście spora w tym zasługa produkcji ubrań typu „fast fashion”, które cechuje bardzo zła jakość materiałów, sztuczne materiały (np. poliester) i masowa produkcja w krajach takich jak

Bangladesz czy Indie. Ale problemów jest znacznie więcej. Błędy popełniamy w trakcie użytkowania. A aż 25% śladu węglowego ubrań pochodzi ze sposobu, w jaki o nie dbamy. Niestety w Europie aż 70% ubrań pozbywamy się ze względu na nieodwracalne uszkodzenia takie jak blaknięcie kolorów, uporczywe plamy czy kurczenie się.

Druzgocący jest fakt, że nawet ubrania, które powinny trafić do ponownego użytku, przedwcześnie lądują na wysypiskach. Skalę tego zjawiska widzimy na pustyni Atakama w Chile. Tamtejsza odzież powinna trafić do ponownego użytku, ale zamiast tego ląduje na gigantycznym wysypisku, które nazywane jest w mediach „cmentarzem ubrań”.

Onet.pl



## Ogólnopolska Pielgrzymka Małżeństw i Rodzin

Pod hasłem „Rodzina wspólnotą pokoju” na Jasnej Górze odbyła się dwudniowa 38. Pielgrzymka Małżeństw i Rodzin.

Przypomniano, że rodzina jest fundamentem, na którym człowiek buduje własną tożsamość i osobowość.

## 90 lat w służbie Polonii i Bogu

Czyt. na str. 9 i 10



Fot.: H. Iglński

# PERSONALIZACJE

**Trochę o tej, trochę o tamtym, dwa słowa o takich i owakich. Czyli, że tym razem inaczej. Czyli, że dokładnie tak samo, jak w tytule.**

Inaczej w ogóle, niemniej dokładnie tak samo, to znaczy o osobnikach ustalających krajobrazy moralne sobie tylko przypisane, nie orientujących się według norm, lecz normy wskazujących. Dla siebie również, jednakowoż przede wszystkim dla innych. Dla świata. Według jakich mianowicie punktów odniesienia czy wzorców?

„Oj tam, oj tam” – parszają na to, zamykając się w bańkach informacyjnych im tylko przynależnych i przezeń dla siebie tworzonych. Stąd konsekwencje: świata, w którym żyją, nie rozpoznają właściwie (w znaczeniu poprawnie), i z perspektywy zewnętrznego obserwatora nic w tym zaskakującego: rzeczywistość filtrowana tokiem myślenia (czy raczej „myślenia”) pt.: „Skoro człowiek jest miarą wszech rzeczy, a ja jestem człowiekiem, w takim razie centymetr to ja. Czy tam suwmiarka wręcz”.

Gotowi? W takim razie jedziemy, mówiąc Rachoniem. Swoją drogą: jak ja szanowałem tego gościa. Kiedyś. Cóż, o moim uwielbieniu dla niegdysiejszych postaw Rachonia Michała oraz mojej niechęci do jego postaw współczesnych opowiem przy innej okazji.

\*\*\*

Na podpałkę bierzemy tymczasem Anatola France’a. Tak, komunista i bezbożnik, do tego uzasadniający sprytnie pomysł na życie pt. żeglowanie z prądem: „Dlaczego idę w stronę socjalizmu? Bo lepiej dać się porwać nurtowi niż być przez nurt odrzuconym”. Oto kolejne potwierdzenie: uzasadnić daje się wszystko, pod warunkiem że w tym celu dobierzemy odpowiednie słowa. Ale.

Ale i otóż, i mimo wszystko, laureat literackiej Nagrody Nobla za rok 1921 – jak napisano: „Za błyskotliwe osiągnięcia literackie wyróżniające się wykwintnością stylu, głębokim humanizmem i

prawdziwie galijskim temperamentem” – więc ów noblista mawiał, że kobiety są jak książki i jeśli tylko każdą przeglądać dość uważnie, zawsze znajdzie się w niej coś interesującego. Czy jakoś podobnie, w każdym razie bardzo trafnie. W związku z powyższym pozwolę sobie jednakowoż wyrazić przekonanie, że pan France nie mógł znać pani Agnieszki Holland. Nie wspominając o Tokarczuk Oldze, też noblistce i również w dziedzinie literatury (2018).

By the way: kto liźnął twórczości pana Anatola i panią Tokarczuk, przepraszam: kto liźnął twórczości pani Tokarczuk, z miejsca rozpozna w jaką czeluść zmierza tak zwana współczesna literatura, wciąż zwana nie wiedzieć czemu literaturą piękną, i dlaczego Akademię Szwedzką pan Komitet Noblowski postępuje aż w takim stopniu, że słów brak.

\*\*\*

Co do Holland Agnieszki, sądzi ona, że istnieją tematy, które wymagają spóźnienia naszej uwagi dużo bardziej, niż pomyje wylane na noblistkę Tokarczuk za jej ocenę własnej twórczości („literatura nie jest dla idiotów”). Weźmy katastrofę klimatyczną czy wojnę na Ukrainie, peroruje Holland. „Myślę, że ludzkość podnieca się bardzo, jak może komuś przyładować” – zauważyła pani reżyser w tym właśnie kontekście. Widać musi jednak coś tam o podniecaniu się wiedzieć, jakkolwiek dziwnie i zaskakująco by to nie brzmiało.

Ale co tam ludzkość. Gdyby Holland zyskała na świadomości, w tym znaczeniu, że posiadałaby wiedzę, jak bardzo niektórych podnieca, myśl sama, że ktoś mógłby „załadować”, czy tam „przyładować”, nie jakiejś tam ludzkości, lecz jej bezpośrednio... Na szczęście dla siebie, nie wie tego i to akurat dobra dla Holland wiadomość, w przeciwnym razie mogłaby nie otrząsnąć się po ciosie.

\*\*\*

Teraz ostrzeżenie: wysłuchałem Szymona. Powiedzmy: pana Szymona. Wiedziałem go. Obejrzałem. Tak, Szymona

Hołownię. Szok związany z powyższym przeżyłem jakoś tam, proszę nie pytać o szczegóły, niemniej jedno przyznam: zbyt długo słuchałem go i oglądałem, a co dziś oceniam w kategoriach głupoty piramidalnej. Do przyglądania się i słuchania Hołowni nikt mnie przecież nie zmuszał, oglądałem i słuchałem Szymona dobrowolnie. Tymczasem – teraz to wiem – na tego rodzaju wstrząsy nikogo narażać nie należy. Nie wolno. Nawet w ramach pokuty czy zadośćuczynienia. Za cokolwiek, czymkolwiek strasznym nie byłoby.

Stara się bardzo, co widać, nie wychodzi mi, co też bez trudu daje się zauważyć, mimo to próbuje nadal i najwyraźniej przestać nie zamierza. Niektórzy mogliby uznać to za konsekwencję, ale to nie konsekwencja, to szaleństwo. Owszem, być może dałoby się nazywać to konsekwencją, gdyby nie fakt, że ponownie próbując, korzysta z tych samych metod przekonywania, używając dokładnie tych samych narzędzi perswazji, a tym samym w stu procentach wypełnia definicję szaleństwa. Czym innym bowiem, jeśli nie szaleństwem, jest oczekiwanie, że w kolejnej zaparzonej herbacie pojawi się słodycz ziemiska, skoro tą samą łyżeczką kręcić będziemy w tej samej szklance, w kolejnym z rzędu naparze? Gdyby nie określone koneksje, porównałbym Hołownię do Zandberga.

\*\*\*

A propos Zandberga: niczym podawane na tekturowych podstawkach do piwa śledź z kartoflem, czy tam odwrotnie, jawią się Zandberg Adrian z Czarszym Włodzimierzem. Przy czym mądrości obu panów dałoby się skonsultować, wszelako w tym celu konieczny byłby przymus z charakteru stalinowski. To nie są indywidualia godne uwagi przyzwoitego konsumenta treści. Może dlatego, że do zjadliwości obu panom dalej niż kropce na kapeluszu muchomora do rozumu? Szczerze powiedziawszy, wolałbym rozgotowane brokuły. Paćkę z paciankiem w sosie spaciankowym wolałbym. Niechby z majonezem. Delicje – w porównaniu z obu rzeczonymi panami. Sam nie wiem, dlaczego ich wspominam.

\*\*\*

Adam Szejnfeld teraz. Tego przypomnieć zawsze warto i mądrości ust jego nader często zatykam na haczyku w charakterze przynęty. Choć przez to pan Adam nie staje się przecież gwiazdą mych rozważań. Mowy o tym nie było, nie ma, i żadne takie. Szejnfeld jest wręcz antybohaterem mojej bajki, co akcentuję od chwili, gdy po dwóch dekadach tak zwanej niepodległości III RP, Szejnfeld, po czubek zaangażowany w proces tworzenia naszej państwowości, przyznał publicznie, iż: „Musimy zastanowić się, jaki ten kraj powinien być”.

Dziś dodam: albo nie słyszał tego, co mówi, albo mówił to, co chcieli usłyszeć jego wyborcy. Obstawiam to drugie, przy czym żadne z dwojga nie uwzniosła przekazu i nie uprawomocnia, do tego degradując intelektualnie odbiorców.

\*\*\*

Z kolei w tym miejscu nie wiem, jak jegomościa ująć. Wiem, że ujmowanie tego rodzaju osobników brudzi jak mało co. Załatwimy to zatem zagadką z serii „I kto to mówi”. Więc.

Więc, całkiem niedawno (w lipcu), usłyszeliśmy: „Prezes ślinił się przy tym i zerkał filuternie na widownię jak sprośny dziadek na wiejskim przyjęciu, który za dużo wypił”. To było o kpinach Kaczyńskiego z zachowań odbiegających od norm. Ta sama persona w styczniu tego roku wyraziła się o Pawle Kukizie: „Ten dureń Kukiz”. Kto rzekł jedno i drugie? Ten dureń Jastrun. Tomasz Jastrun.

\*\*\*

W tym miejscu kurtyna zastanawia się, czy powinna w ogóle opaść. Kiedykolwiek. Po dłuższej chwili opada, niestety opadając, pęka z wrażenia. Pęka wzdłuż, wszere, i nawet w głąb. Na siedemnaście milionów trzysta dziewięćdziesiąt tysięcy osiemset jedenaście skrawków. Prawdopodobnie. Co najmniej. I po kurtynie, i po sztuce, i nawet po teatrze. Można powiedzieć: teatr bez kurtyny tylko w Biedronce. Na półce z książkami. Przepraszam, w koszu z książkami. W każdą niedzielę. Jest, czy tam zaraz będzie. Co za świat.

**Krzysztof Ligęza**

*Kontakt z autorem: [widnokregi@op.pl](mailto:widnokregi@op.pl)*

## Ambasador Wacław Grzybowski 17 września 1939 r. w Moskwie

Marek Kornat

**Cd. ze str. 1**

Grzybowski znalazł się 17 września w absolutnie nadzwyczajnej sytuacji – takiej, w jakiej historia niezmiernie rzadko stawia dyplomatę jakiegokolwiek państwa. Rząd, przy którym go akredytowano, orzekł, że jego państwo przestało istnieć i przystąpił do zbrojnej inwazji Rzeczypospolitej. Nie był zawodowym dyplomatą w tym znaczeniu, iż nie podążał drogą awansu od najniższych stanowisk do najwyższych w służbie zagranicznej, jak jego koledzy – Juliusz Łukasiewicz w Paryżu, Józef Lipski w Berlinie czy Edward Raczyński w Londynie. 17 września zdał egzamin z ofiarnej służby Polsce.

Tytuł ambasadora i sprawowanie misji tej rangi było w międzywojennej Polsce przywilejem niezmiernie ekskluzywnym. Polska miała tylko dziesięciu dyplomatów piastujących to stanowisko w r. 1939. Państwa na ogół wysyłały zagranicę i przyjmowały u siebie posłów. Ambasady były formą reprezentacji zastrzeżoną dla mocarstw. Polska – chociaż mocarstwem nie była – cieszyła się w drodze wyjątku tym przywilejem.

Wacław Grzybowski (1887-1959)

4 • Tygodnik Polski 28.09.2022

był człowiekiem o talencie literackim i wybitnej kulturze humanistycznej, co stwierdzi każdy, kto zechce sięgnąć po jego pisma. Miał też, jak można wnosić, ambicje polityczne. W godzinie wskrzeszenia Polski liczył 31 lat. Urodzony i wychowany na rosyjskim Podolu, pochodził z ziem, które dały kulturze polskiej choćby Juliusza Słowackiego i Karola Szymanowskiego. Czuł się Polakiem, dla którego ojczyzną jest wielkie państwo, które upadło w wyniku rozbiorów, ale wciąż trwało w świadomości jako wielka karta jagiellońskiej przeszłości. Absolwent Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie – myślał o karierze naukowej, co się jednak nie spełniło. Rewolucję w Rosji 1917 przeżywał na Ukrainie. Cudem uniknął śmierci. Oglądał na własne oczy niszycielski pochód bolszewizmu. Widział degradację Rosji i rozpad jej imperium.

W burzliwym czasie poprzedzającym przewrót majowy 1926 r. Grzybowski opowiedział się wyraźnie przeciwko tej koncepcji rządów, którą był polski parlamentaryzm dający zupełną przewagę Sejmowi nad rządem, powodując słabość państwa. Poparł wizję Polski marszałka Piłsudskiego. Przyszedł do pracy w Prezydium Rady Ministrów, pełniąc rolę „prawej ręki” prof. Kazimierza Bartla jako premiera. Już po roku tej służby przeszedł do diploma-

cji. Otrzymał stanowisko bardzo trudne, bowiem było to poselstwo w Pradze. Musimy pamiętać o animozjach polsko-czechosłowackich, o których można by mówić długo. Podkreślmy tylko, że polityka zagraniczna Czechosłowacji, której kurs ustalił Edward Benes, wykluczała sojuszniczą współpracę z Polską, uważając, że takie powiązanie obydwu państw niepotrzebnie narazi jego kraj na konflikt z Niemcami i Sowietami. Zapatrywania te miały się „zemścić” w r. 1938. Niezależnie jednak od wszystkiego Grzybowski służył w Pradze z oddaniem i był rzecznikiem wyczerpania wszelkich środków, aby doprowadzić do jakiegoś modus vivendi obydwu sąsiedzkich państw. Początkowo zanotował nawet sukcesy – wśród nich układ o tranzycie. Po ostatniej nieskutecznej próbie zawarcia porozumienia Warszawa-Praga w r. 1933 minister Józef Beck stracił wszelkie nadzieje. W dwa lata później Grzybowski został odwołany. Po krótkim epizodzie pracy urzędniczej w Prezydium Rady Ministrów (przy premierze Zyndram-Kościałkowski) otrzymał propozycję Becka, aby pójść do Moskwy, co wiązało się z awansem ambasadorskim. Nie odnalazłem żadnego dokumentu, który wskazywałby na motywację, jaką kierował się minister przy tej decyzji. Wnosić można, że chciał do Moskwy posłać człowieka, który zna realia Rosji bolszewickiej (co zresztą było niepisana zasadą polityki personalnej MSZ w Warszawie).

Latem 1936 r. złożył nowy ambas-

dor listy uwierzytelniające i rozpoczął niezwykle misję. Pozornie wszystko było w porządku. Stosunki polsko-sowieckie unormował pokój ryski (1921) i pakt o nieagresji (1932) oraz inne umowy. Sowieci nie zgłaszali do Rzeczypospolitej żadnych pretensji terytorialnych. W rzeczywistości jednak – jak słusznie powiedział historyk amerykański Timothy Snyder – trwała polsko-sowiecka „zimna wojna”, którą świat mało się interesował. Obydwa państwa miały sprzeczne interesy. Kurs polityki sowieckiej zakładał rozciągnięcie na Europę Środkowo-Wschodnią (Polskę, Czechosłowację, Rumunię i państwa bałtyckie z Finlandią włącznie) sowieckiej strefy wpływów – pod pretekstem stworzenia bloku obronnego przeciw Niemcom. Francja i Wielka Brytania popierały ów plan. Polska najmocniej oponowała. W odpowiedzi propaganda sowiecka atakowała dyplomację Becka, głosząc, że państwo polskie jest cichym aliantem Hitlera, a sam minister jego „komiwojażerem”.

Misja Grzybowskiego w ZSRR trwała tylko trzy lata i trzy miesiące. Można podzielić ten okres na dwie fazy. Pierwsza to czas od lipca 1936 do września 1938. Trwało systematyczne pogarszanie się wzajemnych relacji. Kulminacją była mobilizacja Armii Czerwonej we wrześniu 1938 połączona z groźbą wypowiedzenia paktu o nieagresji. Sowieci grozili kontrposunięciami, jeżeli dojdzie do wkroczenia wojsk polskich na Zaolzie, które rząd Rzeczypospolitej

**Cd. na str. 5**

chciał odebrać. Faza druga, to okres od października 1938 do września 1939. Grzybowski był inicjatorem rozmów, które doprowadziły do wydania znanego komunikatu polsko-sowieckiego o wzajemnym poszanowaniu dotychczasowych zobowiązań traktatowych z 26 listopada 1938. Krok ten potwierdzał polską politykę równowagi: ani z Niemcami przeciw Sowietaom, ani z Sowietaom przeciw Niemcom. Ambasador negocjował też i podpisał traktat handlowy 19 lutego 1939. Wszelkie rozmowy, które prowadził z sowieckimi partnerami nie zdradzały żadnych powodów do niepokojów. Bolszewicka dyplomacja nieźle radziła sobie w usypianiu czujności polskich sfer politycznych, starając się wykazać, że od wschodu nie ma zagrożenia.

O kursie polityki polskiej w r. 1939 decydowało oczywiście ściśle kierownictwo państwa w Warszawie (z doniosłym udziałem Becka). Jak każdy ambasador, Grzybowski był wykonawcą tych założeń, które otrzymywał w instrukcjach Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Założenia te były niezmiernie proste. Po pierwsze, Polska nie widziała możliwości sojuszu polsko-sowieckiego, bo też byłoby nie do pomyślenia, aby sojusz taki nie przyniósł uzależnienia od wielkiego sąsiada. Po drugie, skoro mocarstwa zachodnie chcą pozyskać Związek Sowiecki przeciw Niemcom – niech próbują to zrobić, ale bez państwa polskiego. Po trzecie, żadne zobowiązania zawarte między rządami w Londynie, Paryżu i Moskwie nie mogą nałożyć na Polskę żadnych nowych zobowiązań.

Latem 1939 r. rząd ZSRR postawił Polsce żądania w sprawie przemarszu Armii Czerwonej przez jej terytorium na okoliczność wojny, gdyż nie miał on wspólnej granicy z Niemcami. Przyjęcie tych żądań byłoby wyrokiem śmierci na Polskę – podpisanym rękami własnego rządu. Decyzja o odrzuceniu tej koncepcji zapadła w Warszawie. Grzybowski – co charakterystyczne – nie partycypował w jakichkolwiek rozmowach w związku z tą sprawą, gdyż w Moskwie nikt mu takiego postulatu nie przedstawił. Dyplomacja sowiecka starała się działać poprzez rządy w Paryżu i Londynie – usiłując sprawić, aby to one wymusiły takie ustępstwo na Polsce.

Nie ma podstaw źródłowych, aby nie przyjąć, że ambasador Grzybowski liczył się z możliwością wkroczenia wojsk sowieckich do Polski w pierwszej fazie kampanii obronnej przeciw Niemcom. Z 8 września 1939 r. pochodzi ocalały telegram Grzybowskiego do Ministerstwa Spraw Zagranicznych w kraju. Ambasador w Moskwie twierdził że „Sowiety staną na linii bezwzględnej rezerwy i neutralności”. Dzień później natomiast napisał, iż wobec wojny polsko-niemieckiej „Sowiety zajęły stanowisko wyczekująco neutralne”. Jest bardzo możliwe, że Grzybowski – podobnie jak wielu przedstawicieli polskiej elity władzy – w tym dyplomacji i wojska – zakładało milcząco, że Sowietom mogą napaść, ale tylko wówczas, kiedy Polska zostanie w krótkotrwałej kampanii wojennej pokonana przez Niemcy, nie otrzymawszy żadnej pomocy od sojuszników.

W ogóle – rozpatrując stanowisko ambasadora w Moskwie wobec zagrożenia ze wschodu – trzeba zaznaczyć, że historyk znajduje się w niezwykle ciężkiej sytuacji. Otóż komunikacja szyfrowa między Ministerstwem Spraw Zagranicznych w kraju a ambasadą w ZSRR uległa załamaniu. Nie może być wątpliwości, że telegramy szyfrowe kierowane z Moskwy do Bukaresztu, musiały być wpisywane do księgi szyfrów, ale tę księgę zniszczono kiedy w listopadzie 1940 r. trzeba było ewakuować z Rumunii tę placówkę, na żądanie rządu marszałka Antonescu.

Wszystko wskazuje na to, iż Grzybowski długo tłumaczył zachowanie

Sowietów jako defensywne i w gruncie rzeczy neutralne, ale kiedy dostrzegł artykuły prasy sowieckiej o „wewnętrznym bankructwie” Polski i zobaczył organizowane w Moskwie antypolskie manifestacje pod hasłem obrony ciemiężonych przez Polaków narodów białoruskiego i ukraińskiego – nabrał przekonania, że agresja staje się nieunikniona.

Musimy pamiętać, że w krytycznych dniach 1-17 września 1939 ambasador w Moskwie – nawet codziennie ostrzegając swych zwierzchników przed inwazją sowiecką – niewiele mógł zmienić w położeniu Polski. Nie byliśmy w stanie bronić rozciągającej się na przestrzeni ośmiuset kilometrów granicy wschodniej.

Tragiczny dzień 17 września 1939 r. zaczął się dla ambasadora Polski w Moskwie o godz. 2-15. Dzwonił sekretariat wicekomisarza spraw zagranicznych Władimira Potiomkina. Był on wielkoruskim czynownikiem sowieckim, który z pewnością dobrze odnalazł się pod rządami Stalina. „Gdy już wyruszyłem, byłem przygotowany na złe wiadomości. Myślałem, że pod takim czy innym pretekstem nastąpi wypowiedzenie naszego paktu nieagresji. To co mnie czekało było daleko gorsze. P. Potiomkin powoli przeczytał mi notę podpisaną przez p. Mołotowa. Gdy skończył, natychmiast powiedziałem, że odmawiam przyjęcia treści noty do wiadomości oraz zakomunikowania jej mojemu rządowi i zgłaszam najkategoryczniejszy protest przeciwko tej treści i formie” – wspominał Grzybowski. Główny passus noty sowieckiej głosił, że rząd ZSRR kieruje się wolą ochrony ludności białoruskiej i ukraińskiej w obliczu rozkładu państwa polskiego. Uznał wobec tego za konieczne wysłać na terytorium państwa polskiego swoje siły zbrojne. Zobowiązania o nieagresji i sam traktat pokojowy już nie mają mocy obowiązującej, bo państwo polskie przestało istnieć.

Doszło w tych okolicznościach do wymiany zdań polskiego dyplomaty z zastępcą komisarza spraw zagranicznych. Ambasador złożył protest „przeciwko jednostronnemu zerwaniu istniejących, wiążących umów. Żaden z argumentów pretendujących do usprawiedliwienia zamiany tych umów w <świstki papieru> nie wytrzymał krytyki. Według moich informacji, polski prezydent oraz rząd przebywali na terytorium Rzeczypospolitej. Funkcjonowanie rządu, z natury rzeczy, uległo ograniczeniu z powodu wojny”. W pewnym momencie Grzybowski powiedział otwarcie: „Suwerenność państwa istnieje tak długo, jak długo choćby jeden regularny żołnierz walczy. Nie utrzymuje Pan [chyba], że polscy żołnierze już nie walczą! (...) Podczas pierwszej wojny światowej, terytorium Serbii i Belgii były okupowane, ale nikomu nie przyszło na myśl, żeby z tego powodu uważać swoje zobowiązania wobec tych państw za nieważne. Napoleon swego czasu był w Moskwie, ale tak długo jak istniała armia Kutuzowa, uważano, że istnieje Rosja”. Jak widzimy, polski dyplomata nie był biernym świadkiem historii. Stanowczo zwrócił uwagę swemu partnerowi na niestosowność argumentacji. Rozmowę prowadził z dużym opanowaniem i trzeźwą orientacją w historii międzynarodowej.

Najważniejsze dla Potiomkina nie było jednak to, co mówił polski ambasador, tylko doręczenie mu noty. Dlatego usiłował przekonać go, że gdyby odmówił „przyjęcia dokumentu o takiej doniosłości, ponosiłby ogromną odpowiedzialność, o historycznym znaczeniu. Ponadto, rząd sowiecki nie ma już dłużej żadnego przedstawiciela w Polsce i nie może zakomunikować swojej decyzji rządowi polskiemu w żaden inny sposób”, bowiem ambasador sowiecki Szarow opuszczył kraj 12 września. Potiomkin spotkał się z odpowiedzią: „Panie komisarzu, gdybym zgodził się zakomunikować mojemu rządowi treść noty, byłby

to nie tylko dowód, że go nie szanuję, ale też, że straciłem cały szacunek dla rządu sowieckiego. Rozumiem, że moim obowiązkiem jest zawiadomić mój rząd o agresji, która prawdopodobnie już się rozpoczęła, ale nie zrobię nic więcej. Jednak ciągle mam nadzieję, że Pański rząd powstrzyma Armię Czerwoną od inwazji i nie wbije nam noża w plecy w chwili naszej walki z Niemcami”. Potiomkin zarzucił ambasadorowi, że „widocznie nie zdaje sobie sprawy z niemożliwości oparcia się najazdowi niemieckiemu. Na podstawie raportów ich attaché wojskowego, rząd sowiecki sądzi, że armia niemiecka nieuchronnie dojdzie do granic Związku”. Grzybowski replikował jeszcze mówiąc: „Najbardziej pesymistyczne raporty attachés wojskowych nie są zdolne uwolnić od międzynarodowych umów”. Jak widzimy, ambasador nie dał się steroryzować psychicznie.

Rozmowa – według relacji polskiego dyplomaty – trwała godzinę. Dobięła końca około 4-00 rano. Wysiłki Potiomkina spęły na niczym. Oznajmił on więc, że „musi sprawę przedyskutować z rządem”. Dodał, że rząd ZSRR „nie może zmienić powziętych decyzji”. W odpowiedzi usłyszał, iż również ambasador decyzji nie może zmienić i jedynie zawiadomi swój rząd o fakcie agresji. Wojska sowieckie wkroczyły do Polski o godz. 6-00. W Moskwie było kilka minut po godz. 5-tej rano. Grzybowski nadał do Polski depeszę „en clair”, rezygnując z szyfrowania treści. Dotarła ona do MSZ – znajdującego się na pograniczu z Rumunią około godz. 11-00.

Nota rządu sowieckiego do ambasadora Grzybowskiego z 17 września, oznajmiająca agresję na Polskę jako państwo upadłe, nie mogła nim nie wstrząsnąć, ale – jak wolno sądzić – była wypełnieniem przewidywań powziętych 2-3 dni wcześniej, albo może weryfikacją poczynionych już przypuszczeń.

Reakcja ministra Becka na wystąpienie Sowietów znajduje streszczenie w jego pierwszej instrukcji dla ambasadora w Moskwie w godzinach południowych 17 września. Do Grzybowskiego Beck posłał instrukcję. Wyszła ona jeszcze z terytorium Polski w dniu napaści sowieckiej, ale dopiero nazajutrz dotarła do adresata. Poparł stanowczo zachowanie ambasadora. Polecił mu „zażądanie paszportów”, czyli niezwłoczny wyjazd z ZSRR. „Na moją prośbę, ambasador jednego z państw już wcześniej otrzymał zgodę swego rządu na wzięcie pod opiekę budynku naszej Ambasady” – wspominał ambasador. Tym państwem była Wielka Brytania.

W depeszy do polskich placówek dyplomatycznych Beck pisał krótko: „W dniu dzisiejszym w szeregu punktów oddziały sowieckie przekroczyły granicę Polski. Proszę niezwłocznie zaprotestować, zażądać wyjaśnień i wycofania oddziałów z terytorium Polski”. Tego samego dnia minister nadał telefonogram do konsulatu RP w Czerniowcach, polecający skierowanie depeszy claris do ambasad w Paryżu, Londynie, Rzymie, Waszyngtonie, Tokio i Bukareszcie. Dokument ten zawierał następujące naświetlenie postępowania w obliczu agresji sowieckiej: „W dniu dzisiejszym wojska sowieckie dokonały agresji przeciwko Polsce przekraczając granicę w szeregu punktów znacznymi oddziałami. Polskie oddziały stawiały opór zbrojny. Wobec przewagi sił [nieprzyjaciela] prowadzą walkę odwrotową. Założyliśmy w Moskwie protest. Działanie to jest klasycznym przykładem agresji”.

Za zmarłym niedawno prof. Ryszardem Szawłowskim (który wprowadził do historiografii pojęcie „wojny polsko-sowieckiej 1939 roku”) trzeba powtórzyć, że dyplomacja polska nie popełniła błędu w związku z agresją sowiecką 17 września. Agresja ta została stwierdzona i notyfikowana społeczności międzynarodowej, a ta społeczność

jej wówczas nie uznała – z wyjątkiem Niemiec. Nie można było zrobić więcej. Sojusze z Francją i Wielką Brytanią działały wyłącznie przeciw Niemcom (i nie zostały dotrzymane).

Nie sposób nie przytoczyć jeszcze rozkazu marszałka Smigłego-Rydzka do wojsk polskich. Nakazywał on zaprzestanie walki, co jest dzisiaj przedmiotem wielkich kontrowersji wśród Polaków. „Wszystkie nasze wojska zdolne do walki były związane działaniem przeciw Niemcom. Uważałem, że w tej sytuacji obowiązkiem moim jest uniknąć bezcelowego przelewu krwi w walce z bolszewikami i ratować to, co się da uratować. Strzały oddane przez KOP do bolszewików przekraczających granicę stwierdziły, że nie oddajemy naszego terytorium dobrowolnie. A ponieważ w pierwszym dniu bolszewicy do naszych oddziałów nie strzelali, ani też ich nie rozbrajali, więc sądziłem, że możliwym będzie przez pewien czas wycofać dość dużo wojska na terytorium Węgier i Rumunii”. Smigły nie chciał daremnych strat ludzkich, bo wiedział, że kampania wojenna jest przegrana, a los Polski pozostaje związany z losem wojny światowej, która się rozpoczęła. Spór o słuszność tej decyzji trwa i nic nie wskazuje, że wygaśnie. Jedno tylko wypada podkreślić – rozkaz ów nie stoi w sprzeczności ze stwierdzeniem agresji, co zrobił rząd.

\* \* \*

Pozostaje niezaprzeczone, że Wacław Grzybowski z wielką godnością wypełnił swoje obowiązki na stanowisku, na którym postawił go rząd polski. Interesom narodu i państwa nie przyniósł najmniejszego uszczerbku. Ryzykował życiem, chociaż może nie zdawał sobie w tym tragicznym dniu sprawy z tego, że władze sowieckie nie będą chciały uznać jego immunitetu dyplomatycznego i dopiero zgodzą się na wyjazd po interwencji ambasadorów Niemiec i Włoch! Całe to postępowanie pokazuje bezprzykładnie barbarzyński sposób postępowania Sowietów w stosunkach międzynarodowych. W annałach dyplomacji nie jest znany podobny fakt – tj. odmowa uznania przywilejów dyplomatycznych przedstawicielowi napadniętego państwa. Warto o tym pamiętać.

Historyk, któremu przychodzi rozpatrywać po latach złe stosunki Warszawa-Moskwa w dobie międzywojennej, ma niespecjalnie wiele do powiedzenia. Można zauważyć jedynie to, że łatwo można było je poprawić, ale za cenę uzależnienia od wschodniego sąsiada, co byłoby wkroczeniem na drogę utraty niepodległości i klęski. Byłoby to zachowanie podobne do postępowania ciężko chorego pacjenta, który z obawy przed chorobą wybiera samobójstwo. Pozostaje rzeczą bardzo przykrą, że jeszcze i dzisiaj liczni historycy zachodni (o czym mogłem się przekonać na rozmaitych konferencjach) nie pojmują właściwie przyczyn konfliktu polsko-sowieckiego, a nierzadko winą za ten stan rzeczy obciążają stronę Polską. Pojawia się nawet oskarżenie, że rząd polski rzekomo udaremnił stworzenie Wielkiej Koalicji przeciw Hitlerowi, bo nie chciał „przepuścić” Armii Czerwonej.

Misja ambasadorska Grzybowskiego w Moskwie pozostaje bardzo interesującym przykładem z dziejów stosunków międzynarodowych pokazującym granice możliwości dyplomacji w kształtowaniu stosunków z państwem, które wszelkie nadzieje pokłada w użyciu siły, a prawo międzynarodowe ma zupełnie za nic. We wrześniu 1939 r. polski dyplomata przekonał się o tym bardzo dobrze. Dzisiejszy świat – w dramatycznych dniach najazdu Rosji na Ukrainę – przekonuje się, że takie postępowanie Moskwy nie należy tylko do historii, ale jest stosowane nadal, aby zajmować obce terytoria, rozszerzać granice, podbijać cudzoziemskie narody.

Marek Kornat